Kard. Joseph RATZINGER

JAN PAWEŁ II I SOBÓR[1]

Wszędzie otworzyć na oścież drzwi Chrystusowi, przezwyciężyć strach, który mógłby żądać od nas zbyt wiele, który mógłby wykraść coś naszemu życiu – to otwarcie i to wyzwolenie ze strachu tworzą program, który może wystarczyć do opisania całego pontyfikatu obecnego Papieża i jest właściwie programem Soboru Watykańskiego II.

Gdy papież Jan XXIII zapowiedział zwołanie nowego soboru powszechnego, chrześcijaństwo jakby wzięło głęboki oddech. Zrodziło się powszechne oczekiwanie, że wiara będzie teraz mogła szerzej i swobodniej się rozwijać, że zapanuje nowa harmonia między wierzącymi i nowe porozumienie między Kościołem i światem. Nie sposób zapomnieć słów, którymi wyraził ten nastrój sędziwy i naznaczony już chorobą papież, gdy 11 października 1962 r. wygłaszał swą wielką mowę inauguracyjną w obecności niezliczonej, jak się zdawało, rzeszy biskupów ze wszystkich stron świata: „Jest to dopiero świt, ale promienie rodzącego się słońca dotykają już naszych dusz swoją słodyczą!"

Jak narodziła się ta nadzieja? Czegośmy się spodziewali? By to zrozumieć, trzeba się cofnąć w przeszłość. Aż do okresu baroku i rokoka wiara i kultura, Kościół i świat były w Europie i w sferze jej wpływów kulturowych ściśle ze sobą powiązane. Mimo wszelkich sprzeczności między władzą świecką i kościelną nie istniały dwa różne światy, w których żył chrześcijanin, lecz tylko jeden: cała egzystencja była kształtowana przez wiarę, a wiara przepełniona życiem ludzi.

Wielkie przemiany doby Oświecenia zniszczyły tę syntezę. Państwo, społeczeństwo i kultura oparły się od tej chwili tylko na podstawach racjonalnych, wyprowadzając swoje uzasadnienie już nie z wiary, ale z zasad oświeconego rozumu. W ten sposób Kościół został niejako zepchnięty na drugi plan. Wiara przestała należeć do głównego nurtu życia społecznego i kulturalnego i stała się swego rodzaju kulturą „osobną", odrębną sferą życia, znajdującą się poza ogólnym procesem rozwoju duchowego.

Kościół, by przetrwać, musiał dostosować swą strukturę egzystencjalną do walki z potęgami świeckimi, kulturą i nauką laicką. Nie był już wiodącą siłą

[1] Przedruk za „L'Osservatore Romano", wyd. polskie, 13(1992) nr 12, s. 53-55.

epoki, ale jej przeciwieństwem. Kościoły neogotyckie, cecylianizm w muzyce sakralnej, filozofia i teologia neoscholastyczna odzwierciedlały odrębność tej kultury, w której Kościół bronił życiowej przestrzeni wiary przed uniwersalistycznymi roszczeniami czystego rozumu. Ten zwrot ku wnętrzu, ta konsolidacja wiernych w obronie przed ujednolicającą mocą ducha świeckiego doprowadziła do rozmaitych ograniczeń, ale jednocześnie okazała się bardzo owocna. Ujawnienie „inności chrześcijaństwa" i jego niepowtarzalnej tożsamości nadało mu nowy rozmach. Wiek XIX to nie tylko czas zamknięcia się wiary we „własnym świecie", lecz także epoka nowego rozkwitu chrześcijaństwa. To przecież właśnie wtedy powstały niższe i wyższe seminaria diecezjalne; wzrosła liczba powołań duchownych i ich jakość. Jednocześnie ujawniła się w sposób bardzo wyrazisty społeczna rola wiary: wiek XIX zaowocował, jak żaden w przeszłości, przede wszystkim nowymi zakonami żeńskimi, stawiającymi sobie cele społeczne. Wszędzie powstawały instytuty zakonne zajmujące się szkolnictwem, opieką na chorymi, dziećmi, ubogimi i starcami, i przyciągały młodych ludzi, którzy w ten sposób oddawali się całkowicie służbie Bogu i bliźnim. Dzięki temu „getto" stopniowo otwierało się od wewnątrz, jego granice poszerzały się, bo dzieła te same promieniowały poza obręb Kościoła. Kultura katolicka przestała być kulturą osobną i sama włączyła się ponownie w główny nurt ogólnego rozwoju kulturalnego. Postaci takie jak P. Claudel, A. Bernanos, F. Mauriac, R. Schneider, G. von Le Fort i wiele innych, dowiodły, że zniknęły podziały w sferze kultury oraz że to, co wyrosło z wiary, może znów stać się kulturą dla wszystkich. Co więcej, upadek liberalizmu w dramacie I wojny światowej oraz katastrofalny koniec narodowego socjalizmu i faszyzmu w wyniku II wojny światowej należy rozumieć także jako kres systemów antykościelnych, który podważył pewność zeświecczonego świata i autonomię rozumu, tak iż „burzenie bastionów" – również od strony „świata" – stało się zjawiskiem powszechnym, zwłaszcza po roku 1945.

W tym kontekście można zrozumieć eksplozję nadziei, jaką wywołało ogłoszenie Soboru. Spodziewano się, że zostanie ostatecznie przezwyciężona wszelka miernota, małość i strach, powstałe w epoce „getta", i że wiara uzyska nowy rozmach i wolność, która pozwoli jej włączyć się na nowo w główny nurt kultury i nawiązać z nią poważny dialog. Wydawało się możliwe i zgodne z duchem epoki przezwyciężenie podziału między Kościołem i światem, zburzenie murów granicznych, budowanie Kościoła pośrodku świata i przeżywanie świata wewnątrz Kościoła.

To fascynujące, że droga życiowa Karola Wojtyły prowadzi wprost do godziny Soboru. Studiował teologię w fabryce, siedząc przy maszynie przedzierał się przez stronice teodycei: oto obraz Kościoła oderwanego, ale obecnego w świecie, pośród udręki kraju dotkniętego wojną. Oczywiście, książki, które czytał, były dziełami neoscholastycznymi. Nie czytał ich jednak, by przygotować się do egzaminu, ale pociągany ciekawością człowieka, który chce zrozu-

mieć rzeczywistość, prawdę człowieka, świata i Boga w epoce mrocznej i pełnej cierpienia, nie dopuszczającej łatwych odpowiedzi. Studentowi Wojtyle, który czytał i stawiał pytania, książki wydawały się niezrozumiałe i ograniczone, ale wytrwałość w poszukiwaniach nauczyła go odnajdywać w zastygłych neoscholastycznych formułach pierwotną siłę prawdy, która została w nich zakryta, ale nie zagubiona. Kilka lat później, jako młody kapłan, habilitował się na podstawie rozprawy o etyce Maxa Schelera. Scheler, niemiecki Żyd, na początku lat dwudziestych zetknął się na pewien czas z katolicyzmem, a następnie odszedł od niego. Jego myśl dała katolicyzmowi świeży impuls, a z drugiej strony wzbogaciła się doświadczeniem wypływającym z wiary katolickiej. W dziele Schelera odzwierciedla się więc coś z atmosfery wczesnych lat dwudziestych: z dwóch stron zaczęto przebijać otwór w murze, ale wahania i sprzeciwy opóźniały wejście na wspólną drogę. Dzięki dziełu Schelera Karol Wojtyła wszedł w tę dialektykę, która nie tylko go fascynowała, ale stała się dynamiką jego życia. Jego myśli były przeniknięte fascynacją człowiekiem, ale jego antropocentryzm był formowany przez chrystocentryzm, to znaczy przez świadomość, że tylko Ten, który stanowi miarę bytu ludzkiego, jest godny, by być rzeczywiście nazywany „obrazem Bożym" (por. 2 Kor 4, 4; Kol 1, 15). Tej wiedzy nie czerpał z książek, ale ze zmagania się ze wszystkim, co ludzkie, oraz ze współżycia i współcierpienia z własną epoką.

Współpraca w opracowaniu soborowej *Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym* była więc dla Karola Wojtyły, który w międzyczasie został arcybiskupem Krakowa, kluczowym wydarzeniem w jego dotychczasowym życiu. Wszystkim, co do tego czasu przemyślał, doświadczył i poznał, mógł teraz – przez wymianę z biskupami i teologami całego świata – służyć wierze całego Kościoła i pomóc mu w jego dążeniu ku przyszłości. Nie kierował się zatem tylko poczuciem obowiązku, podyktowanym przez sprawowaną funkcję, ale głębokim wewnętrznym przekonaniem, gdy jako Jan Paweł II mówił o danej mu nadzwyczajnej łasce aktywnego udziału w pracach Soboru Watykańskiego II i stwierdzał, że Sobór był zawsze „stałym punktem odniesienia wszystkich [moich] poczynań pasterskich, w których z pełną świadomością starałem się konkretnie i wiernie stosować jego wskazania" (zapowiedź Nadzwyczajnego Zgromadzenia Generalnego Synodu Biskupów, „L'Osservatore Romano" 6(1985) nr 1, wyd. polskie, s. 32).

Od pierwszego przemówienia pontyfikatu stanowi to przewodnią linię wszystkich słów i działań Papieża. Jego własna droga, jako myśliciela i jako kapłana, prowadziła go wewnętrznie do Soboru Watykańskiego II; jego zadaniem, jako biskupa i Papieża, było i jest podążanie drogami Soboru i prowadzenie po nich Kościoła. Podejmuje to zadanie, ponieważ jest wewnętrznie przekonany, że nauki i decyzje Soboru są czymś więcej niż prostymi ideami ludzkimi: są wskazaniami ukształtowanymi dzięki światłu Ducha Świętego oraz odpowiadającymi Bożemu zamysłowi wobec współczesnego Kościoła.

Wszystko to można by zilustrować wieloma faktami, ale nie ma tu na nie miejsca. Postawmy teraz tylko fundamentalne pytanie, które się tu nasuwa: co wynikło z tego zburzenia bastionów, z nowego, odważnego i spontanicznego spotkania Kościoła i świata? Co pozostało z wielkich nadziei, które 11 października 1962 roku pojawiły się na horyzoncie niczym jutrzenka nowego dnia? Chciałbym najpierw spróbować odpowiedzieć na to pytanie za pomocą obrazu. Opowiada się, że zadano Janowi XXIII pytanie o cel Soboru, papież podszedł do okna i otworzył je. Właśnie otwarcie okna Kościoła na świat miało być, według tej anegdoty, celem Soboru. Słynna mowa inauguracyjna, którą 22 października 1978 roku Jan Paweł II rozpoczął swoją posługę pasterską jako Następca Piotra, osiągnęła punkt kulminacyjny w wołaniu, które z placu Świętego Piotra rozbrzmiało na cały świat: „Nie lękajcie się! Otwórzcie, otwórzcie na oścież drzwi Chrystusowi! Jego zbawczej władzy otwórzcie granice państw, systemów ekonomicznych i politycznych, szerokie pola kultury, cywilizacji, rozwoju. Nie lękajcie się! Chrystus wie «co jest wewnątrz człowieka» Tylko On to wie!" Wszędzie otworzyć na oścież drzwi Chrystusowi, przezwyciężyć strach, który mógłby żądać od nas zbyt wiele, który mógłby wykraść coś naszemu życiu – to otwarcie i to wyzwolenie ze strachu tworzą program, który może wystarczyć do opisania całego pontyfikatu obecnego Papieża i jest właściwie programem Soboru Watykańskiego II. Papież podróżuje niestrudzenie, nie boi się zmęczenia, podejmuje wszelkie wysiłki, by otworzyć na oścież drzwi Chrystusowi i burzyć mury, którymi otacza się człowiek. Spotyka się z możnymi i słabymi, z bogatymi i ubogimi, odwiedza najdalsze zakątki ziemi i wielkie metropolie, zawsze po to, by nieść światu Chrystusa. Na placach świata tysiące ludzi uczestniczą w Eucharystii, a słowo Boże jest głoszone „na dachach, tak że każdy musi je usłyszeć" (Mt 10, 27). Rzeczywiście – do dnia dzisiejszego otworzyło się na oścież wiele drzwi, które wydawały się zamknięte na zawsze; runęły mury, które wydawały się niezniszczalne.

Wiara wyszła odważnie poza mury obronne i podjęła otwartą konfrontację ze światem. Nie można się dziwić, że powoduje to kontrowersje i nie ułatwia się chrześcijanom życia. Nie należy zapominać, że Papież Jan XXIII w przemówieniu na otwarcie Soboru wypowiedział nie tylko słowo „jutrzenka", ale także następujące zdania: „Jest i pozostanie prawdą to, co starzec Symeon zapowiedział proroczo Maryi, Matce Jezusa: «Oto Ten przeznaczony jest na upadek i na powstanie wielu [...], i na znak, któremu sprzeciwiać się będą» (Łk 2, 34)". Przytoczył też słowa Jezusa z Ewangelii św. Łukasza: „Kto nie jest ze Mną, jest przeciwko Mnie; a kto nie zbiera ze Mną, rozprasza" (Łk 11, 23). Można by także zacytować tu inne słowa Jezusa: „Nie sądźcie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz" (Mt 10, 34). Są to zapewne słowa tajemnicze i niejasne, ale jeśli je dobrze zrozumieć, nie są wcale sprzeczne z zapowiedzią Jezusa, że zmagania, do których On nas wzywa, prowadzą nas do prawdziwego pokoju (por. J 14,

27). Pragnę tu dodać tekst Orygenesa, który przekazuje doświadczenie wielkich mistrzów duchowych wszystkich wieków: „Gdy dusza ludzka zjednoczy się ze słowem Bożym, nie powinna mieć wątpliwości, że natychmiast spotka się z nieprzyjaciółmi" (*Homilie o Księdze Jozuego*, 11, 2). Chrześcijaństwo, które nie napotyka oporu, traci znaczenie; chrześcijaństwo, które samo nie ma już odwagi stawić oporu, staje się „solą, która utraciła smak", zasługującą tylko na podeptanie (por. Mt 5, 13).

Fakt, że wiara dzisiaj – może bardziej niż w przeszłości – staje się przedmiotem dyskusji i że także w Kościele powstają bolesne podziały, które Pan nam zapowiedział (Mt 10, 35), świadczy wyłącznie o tym, że Papież głosi wiarę odważnie i bezkompromisowo, gdyż wie, że możemy zaufać Chrystusowi także i przede wszystkim wtedy, gdy bycie chrześcijaninem zaczyna być niebezpieczne. „Oto Ja was posyłam jak owce między wilki" (Mt 10, 16), powiedział do swoich uczniów Pan, który dla nas stał się „barankiem". Kto oczekiwał, że po Soborze Watykańskim II nie będzie już „wilków", ten oczywiście źle rozumie nadzieję chrześcijańską, a wraz z nią intencje Soboru.

Kończąc chciałbym jeszcze raz posłużyć się obrazem, aby wyraźniej ukazać „ducha Soboru Watykańskiego II"; obraz ten dobrze odzwierciedla rzeczywistość i prowadzi do serca obecnego pontyfikatu. Dwadzieścia lat po zakończeniu Soboru, ogłaszając synod nadzwyczajny Papież wskazał na Maryję, „Matkę Kościoła", jako na wzór stałej otwartości na słowo Boże oraz całkowitej i niezłomnej wierności. Te dwie cechy charakterystyczne tworzą całość i obydwie w sposób niezrównany są obecne w Maryi. Jest Ona zawsze gotowa na przyjęcie Bożego wezwania, które przynosi ciągle nowe przełomy w Jej życiu i wymaga odważnego przyjmowania nowych i nieoczekiwanych sytuacji: od zwiastowania w Nazarecie, przez bolesne poszukiwanie Dwunastoletniego, wykluczenie Jej przez Jezusa z życia publicznego i powierzenie Jej Janowi z wysokości krzyża, aż do godziny Zesłania Ducha Świętego i do narodzenia się Kościoła. Ta otwartość jest także stałą wiernością, która pozostaje ukryta w tajemnicy Chrystusa aż do nocy krzyża, a dzięki temu może także wejść w doświadczenie zmartwychwstania. Otwartość i wierność, synteza maryjna, której pragnął na nowo nauczać Sobór. Sam Papież uczy się tej syntezy od Maryi i uczy jej nas. I z tego powodu, właśnie jako Papież maryjny, jest wiernym wykonawcą Soboru Watykańskiego II.